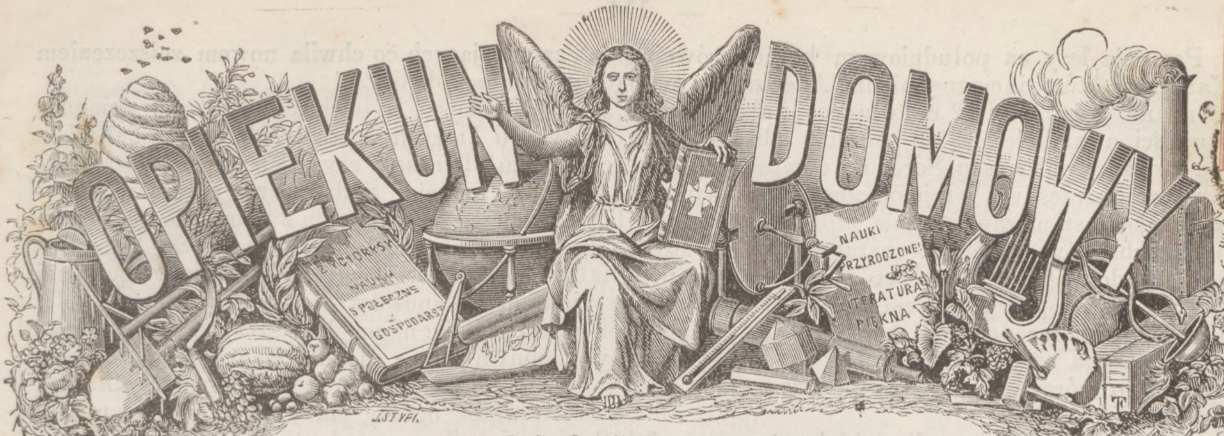



Warszawa dnia 3 (15) Kwietnia 1868 roku.

Nr 15. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.



## POMPEJA.

Na przejazd zNeapolu do Pompei potrzeba końmi kilku godzin, koleją pięd ziesięciu minut. Droga prowadzi przez najżyzniejsze i najludniejsze okolice. Przejeżdżamy St. Gioranni, Portici, Resina, Torre del Greco, Torre dell'Annunziata—osada i miasteczka liczące od dziesięciu do dwudziestn tysięcy mieszkańców. Przemysł w nich jest na niskim stopniu, ale bogactwo ziemi wszystko wynagradza; na stoku góry rośnie szlachetne wino, pola nawet poprzecinane są szeregami drzew, na których oplata się winorośl. Co chwila przyjemnie uderza oko cienisty ogród, pełen drzew pomarańczowych i cytrynowych. Białe, zazielenione ledwie miejscami, kupy rumowisk, oddzielają tę uśmiechniętą krainę od zupełnie innego świata, otaczają zwaliska Pompei.



Pompeja (widok przed zasypaniem).

Pompeja leży na południowym krańcu równin Kampanji, które się ciągną między Apeninami i morzem na przestrzeni 12 mil długości i około 4 mil długości, a zamknięte są od południa odroślą Apenin tworząca pół-wysep Sorento. *Campania felix*— Kampanja szczęśliwa, jak ją od czasów starożytnych nazywają, jest niezaprzeczenie płodem wulkanicznych wybuchów. Główną, charakterystyczną częścią składową jej gruntu, jest czerwono-brunatny tuf, utworzony pod wpływem wody za owych czasów kiedy morze podnóża Apenin sięgało. Jemu zawdzięcza ta niewyczerpanie bogata ziemia ową żyzność, o której już starożytni pisarze z takim podziwem wspominali.

Wybrzeża zatoki neapolitańskiej stanowią najpiękniejszą i najbardziej rozwiniętą część tego kraju; długość ich wynosi 7 do 8 mil. Północna ich strona od przylądka Misenum, aż do pagórków na którym wznosi się Neapol, objęta jest łańcuchem wzgórz wulkanicznych, których najwyższe wzniesienie (1,416 stóp) stanowi klasztór Kamedułów, słynny z prześlicznego widoku jakim z niego napawać się można. Liczą tu aż 27 kraterów zagasłych od wieków. Okolica dziś w części opustoszała, zasianą jest szczątkami starożytnej cywilizacji.

Nie opodal od przylądku Misenum, leżało miasto tegoż nazwiska z wspaniałym portem, w którym była przystań floty morza Śródziemnego za czasów rzymskiego cesarstwa; dalej Baja, najwziętsze i najliczniej odwiedzane z ówczesnych zdrojowisk kąpielnych; dalej znów miasto handlowe Puteoli, ognisko stosunków targowych Italji z Wschodem. Dziś na miejscu tego ostatniego znajduje się miasteczko Puzzuoli, o którego dawnej świetności świadczą dotąd zwaliska amfiteatru, świątyni Serapisa i innych budowli.

Na południe zatoki wybiega odrośl Apenin jako półwysep Sorrento, oddalający zatokę neapolitańską od salernitańskiej. Góry te dochodzą do 5,000 stóp wysokości, mianowicie góra St. Angelo wznosząca się po nad Castellamare, w blizkości którego znajdowała się starożytna Stabja.

Spadki gór tak od północy jak od południa są strome i szybkie, gdzie niegdzie tylko przerywane niewielkiemi dolinami pokrytemi najbujniejszą roślinnością.

Północny kraniec zatoki przedłużają niejako dwie wulkaniczne wyspy Procida i Ischia: pierwsza płaska, a druga z powodu znajdującej się na niej góry Epomeo (2,610 st. wys.) z daleka widzialna. Wyspa Capri starożytna Kaprea, na której cesarz Tyberjusz przepędził ostatnie lata swojego życia, będąca podobnież rodzajem przedłużenia południowego wybrzeża zatoki, skalista, stromo wystercza z morza i z każdego punktu widzenia nowy a zawsze uderzający widok przedstawia.

Z trzeciej strony od wschodu, zatoka dotyka bezpośrednio równiny, na której wznosi się Wezuwjusz. U stóp tego wulkanu ku stronie morza leży dzisiejsze Resina—starożytne Herkulanum, a o godzinkę drogi od niego w południowym kierunku, dalej od brzegów morskich znajduje się Pompeja.

Wezuwjusz nadaje całej okolicy jej tylko właściwy i trudny do opisania charakter nadzwyczaj miłej, melancholicznej prawie piękności. Wybiegające z niego chmurki białej pary, świadczą o istnieniu straszliwych potęg, zamkniętych w jego łonie i zagrażających co chwila nowem zniszczeniem tej przecudnej okolicy.

Najstraszniejszy wybuch tego wulkanu z pomiędzy tych o których mamy wiadomość, miał miejsce w roku 79 naszej ery i zagrzebał miasta Herkulanum, Pompeję, Stabją, wraz z całą ich okolicą. Kto przed tą katastrofą z muru Pompei rzucał okiem na zatokę, widział większe jeszcze bogactwo niż dziś spostrzega. Powietrze zapełnione zgubnemi wyziewami nie spustoszyło jeszcze wówczas okolic Misenum i Baja: nagie dziś szczyty gór pokryte były bujnym lasem, dokoła ciągnął się nieprzerwany szereg kwitnących miast i wspaniałych willi, których widok ogólny jakby jedno wielkie miasto przedstawiał. Tu spotkała się działalność i żywotność starej Italji, z klassyczną Grecją i poważnym Wschodem, i z tego zetknięcia okolica czerpała soki do ciągłego, właściwego sobie, pełnego przyszłości rozwoju;—odblask tego świetnego stanu, znajdujemy dziś jeszcze w zwaliskach Pompei.

Przez długie wieki nie zajmowano się zupełnie miastami zagrzebanemi. Około końca szesnastego stulecia przeprowadzono kanał mający dostarczać wody z Sarno do Torre Anunzziata. Kanał ten do dziś istniejący, przechodzi w poprzek Pompei, nie korzystano jednak z okoliczności kopania go ażeby dalsze robić poszukiwania. Położenie miasta było nawet uczonym zupełnie nieznane. W r. 1719 przypadek sprowadził odkrycie Herkulanum. Przy robocie studni natrafiono w głębokości 44 do 45 łokci na teatr i wydobyto pewną liczbę posągów. W trzydzieści lat potem rozpoczęto poszukiwania na nowo, o odkryciu Pompei nie było jednak jeszcze mowy, aż w 1748 r. przypadkowo w jednej winnicy zrobione wykopaliska, zachęciły do dalszych szperań. Zaczęto odgrzebywać amfiteatr, później teatr, wszystko to jednak szło z dziwną opieszałością i powolnością. Przez całe lata kopało nie więcej jak czterech lub pięciu robotników, a i ci nawet nie ciągle byli zajęci. Odgrzebywano ruiny, aby w nich znaleść posągi i naczynia, a potem nietroszczono się wcale o ich konserwacją albo na nowo przysypywano je wydobytą ziemią. Zarząd robót dopuszczał się nadużyć, przeniewierstwa były na porządku dziennym. I tu także okazała się w całej pełni nieudolność i słabość rządów burbońskich.

Zupełnie inny widok pod tym względem przedstawia krótkie panowanie francuzkich królów Józefa Bonapartego (1806) i Joachima Murata (1808—1814). W tych czasach rozpoczęto systematyczne odkopywanie miasta. Mury zostały w całym obszarze odgrzebane, również jak Forum z świątyniami i publicznemi gmachami. Liczba robotników zajętych pracą, dochodziła w sprzyjających robotom okolicznościach do kilkuset.

Wypadki tych prac i poszukiwań zebrane zostały w opisie zwalisk Pompei, wydanym przez znakomitego budowniczego francuzkiego Mazois (ur. 1783 um. 1827). Dzieło jego jest dotychczas podstawą i punktem wyjścia dla wszystkich badaczy tego zmartwychwstałego grodu.

Burbonowie powróciwszy do władzy, nie mogli zrazu nie pójść za tym tak chlubnym przykładem, powoli jednak gorliwość ich stygnąć zaczęła i dawne nadużycia i nieporządki objawiły się na nowo. Ztąd poszło, że od 1815 do 1860 r., pomimo wysileń pojedynczych mężów a mianowicie dyrektora Avelino, roboty nie tak szybko postępowały jak się tego spodziewać należało. Rok 1859, przyłączenie

Neapolu do królestwa włoskiego, sprowadził i tu szczęśliwą zmianę; rząd włoski bowiem wyznaczył stałą roczną summę 60,000 franków (15,000 rs.) na wykopaliska i postawił na czele robót Józefa Fiorelli, najodpowiedniejszego pod względem zdolności do kierowania tego rodzaju pracami. Roboty według raz przyjętego i ustanowionego porządku puszczają się przez licytacją pojedynczym entreprenerom, a ponieważ grunt złożony z wulkanicznego nasypu nie przedstawia wielkich trudności, więc postępują bardzo szybko. Ułożono szyny po których wagonami odwozi się wykopana ziemia, odkopane zaś budynki są konserwowane ze wzorową starannością. Wojskowo uorganizowany oddział 32 dozorców z kilką nadzorcami pilnuje robót, pierwsi zaś prócz tego oprowadzają zwiedzających w dni powszednie, kiedy wejście dozwolonem jest tylko za opłatą 2 fr.

Oprócz tego na miejscu urządzono muzeum mniejszych i mniej kosztowniejszych przedmiotów, oraz bibljotekę, tak że uczeni mają pod ręką wszelkie materjały potrzebne do swoich badań i studjów.

Kto od zwalisk koniecznie malowniczości wymaga i oczekuje, ten się na Pompei zawiedzie. Oglądana z wysokiego punktu, przedstawia ona labirynt nagich na wpół zwalonych murów, nie wznoszących się wcale nad okoliczne pola i nie robi bynajmniej pociągającego wrażenia; ten nawet kto przebiega ulice tego miasta potrzebuje wszędzie fantazji, ażeby obrazy zmarłych czasów z pomiędzy tych murów wywołać, tak jak je wskrzesza ołówek artysty w załączonym do niniejszego artykułu drzeworycie, gdyż tylko mury do wysokości 12—15 stóp rzadko 16 do 20 ocalały, wszystkie zaś części drzewne lawa do szczętu zwęgliła. Zrozumienie budowli utrudnia głównie brak dachów. Przedmioty znalezione we wnętrzach nawet lepsze malowidła na ścianach, zostały przeniesione do Muzeum narodowego w Neapolu, co surowo lubo niezupełnie słusznie ganią turyści a nawet niektórzy pisarze.

Pozostawione na miejscu przedmioty te uledzby prędko musiały niszczącym wpływom klimatu, dachy bowiem ochronne teraz dawne stanowią wprawdzie zasłonę od deszczu, lecz od wpływów temperatury słabą tylko i niedostateczną są tarczą. Nawet życzenie, żeby choć jeden dom odkopać w takim stanie w jakim w starożytności był zamieszkały, jest trudnem do zrealizowania—dziś bowiem odkopywane miasto nie jest bynajmniej w takim stanie w jakim je zostawili mieszkańcy, uciekając w czasie wybuchu.— Wkrótce po zasypaniu musiano w pulchnej jeszcze warstwie lawy nie grubszej wówczas nad 20 stóp, grzebać i robić poszukiwania w celu wydobycia i odzyskania wszystkiego, co tylko wydobyć i odzyskać było można. Później przez całe stulecia używano zwalisk szczególniej świątyń, do których budowy wychodziły kosztowne marmury i trawertyny jako kamieniołomów, a dziś odkopywane miasto jest w takim stanie, w jakim je starożytni już jako nieopłacające poszukiwań zostawili.

Mimo to jednak, zwaliska te przejmują zwiedzających wrażeniem, któremu równego niepodobna znaleźć gdzieindziej. Cywilizacja zamierzchłych wieków występuje tu przed nami, przyglądamy się starożytnemu światu, jego szczątkom wymownym z tej właśnie epoki, która z dzisiejszą ma może najbliższą analogją, z epoki rzymskich czasów.

Pompeja ma długą historją, założeniem swem bowiem sięga szóstego a nawet siódmego stulecia przed naszą erą; położoną jest ona na wzniesieniu, które w przedhistorycznych czasach utworzyło się również z strumieni lawy Wezuwjusza. Morze było od niej o niecałe pół mili a może mniej oddalone, a bezpośrednio pod miastem płynął Sarnus, który wówczas jak wszystkie rzeki Włoch posiadał wielką ilość wody i stanowił bezpieczną przystań dla statków. Tym sposobem Pompeja z położenia swego była miastem nadmorskiem, przeznaczonem na jeden z głównych punktów handlu międzynarodowego. Bogactwo gruntów okolicznych przedstawiało również jedno ze źródeł jej wzrostu. Wody Sarno nawadniając grunta, podwajały i potrajały plony, jak to do dziś jeszcze ma miejsce.

Główny plan niasta, który od jego założenia nieodmiennie się utrzymał, jest bardzo prosty i regularny. Pompeja ma kształt owalu mającego obwodu blisko $^2/_5$ mili (przeszło półtrzeciej wiorsty) i jest otoczoną podwójnym grubym murem, w którym znajdowało się pierwiastkowo siedm a następnie ośm bram. Dwie równoległe główne ulice idące od wschodu na zachód i jedna przecinająca je prostopadle od południa do północy, odgraniczały rozmaite części miasta, zapełnione pewną liczbą wązkich w części także krzywych uliczek.

Imię Pompei poraz pierwszy wspomnianem jest w dziejach w roku 308 przed nar. Chr. Wrzała naówczas wielka wojna pomiędzy Rzymianami a Samnitami, Etruskami, Oskami i ich sprzymierzeńcami, od której wypadku zależeć miało czy Rzym będzie stolicą i panem Italji. Pompejczykowie sami pochodzący z plemienia Osków, wytrwale trzymali stronę współplemiennych z sobą Samnitów i dzielnie odparli zamiar wylądowania rzymskiej floty, działającej w zatoce neapolitańskiej. Lecz gdy w długoletniej wojnie szczęście ciągle wyraźniej przechylało się na stronę Rzymu, ludy Italji musiały zawrzeć pokój i choć wewnętrznie pozostały przy swych ustawach i zarządzie, weszły jednak w stosunek zależności od Rzymu jako sprzymierzeńcy. Tak się też stało z Pompeją. Odtąd dzieliła ona losy całego półwyspu i brała udział w wysileniach i klęskach olbrzymiej walki, o władztwo świata pomiędzy Rzymem i Kartaginą.

*(d. c. n.)*

---

## KAPŁAŃSTWO.

Nie tylko ten człowiek kapłanem się zowie
Co Ciało Chrystusa z ołtarza w dłoń bierze,
Co kielich Krwią Świętą napełnia w Ofierze,
Co modły za ludzkość posyła Jehowie
I zbrodnie rozgrzesza przed Panem;—
Bo i ten kto w świętym rodziny przybytku
Pilnuje jedności, powagi i cnoty,
Kto dziatki odwodzi od złego, od zbytku,
A w Niebo orłemi unosi je loty,
I ten się też zowie kapłanem.
Niewiasta co kwieciem miłości i wiary,
Jak tęczą zbawienia otacza nam strzechę,
Co czarne z skroń naszych rozprasza nam mary,
A w piersi balsamu rozlewa pociechę,
I ona jest także kapłanem.
Wybraniec co iskrą wieszczego natchnienia
Serc tętna do sławy, wielkości rozbudza,
Co stoi jak prorok na straży sumienia
I rany anielską melodją ostudza,
On także jest naszym kapłanem.

Ach, tacy kapłani gdy wzniosą swe dłonie
Z kielichem ofiarnym, z zaklęciem i chlebem,
Poruszą samego Jehowę na Tronie,
Pogodzą nas z życiem, pogodzą nas z Niebem,
I z wszystkich kapłanów Kapłanem.

*Franciszek Gumowski.*

## NA GORĄCYM UCZYNKU

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.— Patrz N. 13).

—Poszlaki niedorzeczne, panie komisarzu—grzecznie ale stanowczo odrzekł aresztowany,—wdając się w szerokie objaśnienia zabrałbym panu tylko czas, który przydać się może na szukanie prawdziwego winnego lub winnych. Co do mnie jestem spokojny. Nikt mnie o zabójstwo nie posądzi. Opowiem panu fakt w krótkości. Idąc przez Topiel potknąłem się w ciemności o ciało leżące na drodze. Myślałem, że to człowiek omdlały lub ranny, pochyliłem się by mu nieść pomoc. Spostrzegłem nóż tkwiący w piersi, wyjąłem go. Trochę krwi odpłynęło. Zabity nie wydał ani westchnienia, ani jęku. Przyznam, że mnie ten wypadek tak wzruszył, iż przez chwilę nie wiedziałem co począć. Podniosłem się i machinalnie zacząłem obcierać nóż. W tej chwili znajdowało się koło mnie dwóch ludzi, którzy po krótkiej rozmowie zaczęli we mnie wmawiać to zabójstwo. To mnie oprzytomniało. Przyszło mi na myśl, że w tem być może piekielna taktyka samych zabójców, którzy po spełnieniu zbrodni oczekiwali w ukryciu na pierwszego lepszego przechodnia, ażeby ją spędzić na niego. Czy mój domysł jest rzeczywistym—nie wiem, w każdym jednak razie jest prawdopodobnym i zasługuje na sprawdzenie.

— Czy pan znasz zabitego?...

— Nie zdaje mi się żebym go gdzie mógł widzieć. W ciemnościach dzisiejszej nocy próżno przypatrywałem się jego twarzy. Wątpię bardzo, żeby mógł mi być znajomym.

— Nie znalazłeś pan czego przy nim?..... Miał pieniądze?.....

— Panie komisarzu, nie do mnie należało go rewidować.

— Więc pan możesz zaręczyć, że żaden przedmiot będący jego własnością nie znajduje się przy panu.

— Panie! pytanie to byłoby ubliżającem, gdyby nie było urzędowem. Jestem człowiek bogaty i nieposzlakowany, wolnym być zatem powinienem od podejrzeń o obdzieranie trupów.

Słowa te były powiedziane z prawdziwą godnością i dumą.

— Dla czegóż jednak—zaczął znowu komisarz—zapytany kto jest zabójcą, przyznałeś nię pan natychmiast i dopiero później zapierać się zacząłeś.

— To fałsz!—odrzekł Opędzki z oburzeniem.

— Dwaj świadkowie przecież, ludzie wiarogodni i nieposzlakowani, potwierdzili to jednomyślnie.

— Ta okoliczność właśnie, że ci dwaj ludzie wmawiają we mnie zeznanie, które jest najoczywiściej zmyślonem, zmusza mnie do posądzenia ich, że są w zmowie i że mają w tem interes, żeby na mnie zwalić winę zabójstwa.

— Pan obstajesz przy tem posądzeniu?

— Bynajmniej. Podjąłem je tylko jako myśl, która mi przyszła; nie do mnie należy objaśniać ostatecznie co ich skłonić mogło do tak fałszywego zeznania.

— Do pana jednak należy objaśnić, dla czego nie chciałeś iść z nimi do cyrkułu, kiedy to panu proponowali?

— Zdawało mi się to zbytecznem...

— Jakto, panie?... pan, człowiek ukształcony i rozumny mogłeś przypuszczać, że jest zbytecznem zawiadomienie policji o tego rodzaju wypadku?

— Przeciwnie panie, zdawało mi się tylko niepotrzebnem, żebyśmy wszyscy trzej chodzili. Brałem tych panów wówczas za równie przypadkowych świadków zdarzenia jak ja jestem; obowiązkiem naszym było zawiadomić policją, ale czy trzy wiadomości czy jedna, było to zupełnie toż samo. Proszę pana, gdyby nas nie trzech ale trzystu zebrało się nad trupem, czyżbyśmy także wszyscy byli obowiązani iść do cyrkułu z doniesieniem?

— Postąpiłeś pan jak się panu wydawało stosownem—odrzekł komisarz,—nie zaprzeczysz pan jednak, że ważne poszlaki ciążą na panu.

— Poszlaki te światło dzienne rozproszy...

— Tym lepiej bedzie dla pana i tym przyjemniej dla mnie. Tymczasem jednak muszę postąpić według prawa.

Komisarz zalecił żeby zrewidowano Opędzkiego, co wykonano zaraz w jego obecności.

Znaleziono przy nim dosyć znaczną ilość pieniędzy w brzęczącej monecie i banknotach; między innemi znajdowało się kilkanaście sztuk półimperjałów,

—Te pieniądze należą do pana?—zapytał urzędnik.

— Do mnie.

— Pan je posiadasz oddawna?

— W części oddawna, w części od dziś dopiero.

— Od jak dawna masz pan to złoto?...

— Panowie— odrzekł Opędzki z pewną niecierpliwością,—wszystkie te badania nie mogą doprowadzić do niczego. Jestem niewinny i to się natychmiast okaże. Tymczasem zajmując się mną, zostawiacie właściwym winnym czas do zatarcia śladów zbrodni...

— Pan zaś —przerwał urzędnik,—odmawiając nam jasnych i kategorycznych odpowiedzi, każesz nam myśleć że potrzebujesz czasu do wynalezienia wykrętu.

— Postępuję jak uważam za właściwe— odparł aresztowany stanowczym i pewnym głosem;—możecie panowie zamknąć protokół. Nic więcej nie zeznam tutaj i na wszelkie pytania dalsze, odmawiam z góry odpowiedzi. Jeżeli trzeba będzie dalszych zeznań, złożę je tam gdzie prawo przepisuje.

Na tem zakończyło się badanie. Obwiniony nic więcej mówić nie chciał, tylko gdy wydobyto z jego kieszeni chustkę skrwawioną, dodał:

— Świadkowie widzieli, że w pomięszaniu i niewiedząc co robię, w tę chustkę obtarłem nóż wyjęty z rany zamordowanego, który również bezwiednie schowałem na chwilę do kieszeni.

Był to jeden z takich wypadków, które nawet ludziom przywykłym do rozjaśniania śladów zbrodni i odkrywania z poszlak przestępców, przedstawiają się jako zagadki. Nikt z obecnych urzędników policji nie mógł być pewnym czy oskarżony jest winnym czy niewinnym, mimo to, że prawie na gorącym uczynku spostrzeżonym i ujętym został. Poszlaki mówiące przeciw niemu były zbyt ważne, żeby można było myśleć o wypuszczeniu go tymczasowem; sposób obrony wydawał się zręcznym, prze-

biegłym, wydałby się prawdopodobnym nawet, gdyby aresztowany na niektóre pytania wyraźnie nie odmawiał odpowiedzi. Przytem na poparcie tożsamości swej osoby, żadnych dowodów oprócz słów nie posiadał. Nakazano zatem zatrzymać go do dnia następnego.

Co do dwóch świadków, zarzut którym Opędzki ich obarczał na daleko mniejszą zasługiwał uwagę. Przedewszystkiem byli znani w cyrkule, gdyż w nim mieszkali i nie było żadnej wątpliwości, że są tymi za których się przedstawiają, oraz że nigdy najmniejsze podejrzenie na nich nie ciążyło. Dla ostrożności poddano i ich także rewizji, nic jednak nie znaleziono takiego, coby mogło potwierdzać rzucone przez Opędzkiego podejrzenie. Pieniędzy nie mieli wiele, broni żadnej, boć trudno było za broń poczytać kilka narzędzi chirurgicznych, bez których nigdy nie wychodził pan Fiksz. Obaj mieli sińca na czole, co jednak objaśniło gwałtownym uderzeniem się o siebie w chwili spotkania na Topielu, pan Antoni był nawet krwią zwalany cokolwiek, co się tłómaczyło dostatecznie tem, że jako felczer chciał nieść pomoc zabitemu i dotykał jego rany. Zresztą tłómaczenia ich były jasne i na żadne pytanie nie zalegali w odpowiedzi, powołując się na świadectwa najwiarogodniejszych ludzi.

Po spisaniu protokółu z ich zeznań, wypuszczono ich natychmiast.

Poszli do domu, w drodze rozmawiając o wypadku.

— Ot co — mówił pan Soter, — gdyby nie ten nasz zakład który ja wygrałem, bylibyśmy obaj poszli przez Aleksandrją i nie natrafilibyśmy na zbójcę, którego się tak szczęśliwie złapać udało.

— Więc macie sumienne przekonanie że to on zabił, — spytał pan Fiksz.

— Wszystko się zdaje że tak... przecież się nam przyznał... samiście słyszeli jak go pytałem czy on zabił, i jak odpowiedział że on.

— To słyszałem, prawda... ale...

— Ale cóż?... po coby się przyznawał że on, gdyby to nie on zrobił?...

— I to prawda, bądź co bądź jednak, ten człowiek niewygląda na zbójcę.

— Ba! — rozśmiał się pan Soter, — gdyby można było poznać po fizjonomji kto może być zbójcą a kto nie, toby nie było nic łatwiejszego jak wszystkich kandydatów na zbrodniarzy odrazu pozamykać pod klucz.

Tak rozmawiając, stanęli pod bramą domu i wkrótce potem już w sennych widzeniach przedstawiała się im obydwu skrwawiona postać zabitego.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

---

## CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy,*—patrz Numer 14).

— Co to się stało? — zawołałem przybiegając. Gdzie dzieci? do kogo strzelili?

— Boleś strzelił do jakiegoś zwierzęcia — odpowiedziała Anna — ale do jakiego.... nie wiem. Prawdopodobnie ranił go, bo oba wraz z psami pobiegli i dotąd ich jeszcze nie widać.

— W którą stronę? — zapytałem.

Gdy Anna ukazała mi kierunek w którym się udali, pobiegłem tam nie tracąc chwili i o jakie sto kroków znalazłem Witolda, Bolesia i psów przy jakiemś zabitem zwierzęciu. Boleś był dumny ze swego powodzenia i zdawał się oczekiwać pochwał, których też nie mogłem mu odmówić. Wziąłem zwierzę za jedną z tylnich nóg bo ogona nie miało, i zaciągnąłem je do ogniska. Było tak wielkie jak cielę, ale nierównie zgrabniejsze: przy świetle ogniska poznaliśmy w niem antylopę z rodzaju tych, które się znajdują w Ameryce północnej.

Dowiedziałm się wtenczas, że gdy siedząc na około ogniska oczekiwali na nas, nagle dostrzegli w ciemności parę błyszczących oczu, które niby dwie iskry o kilka kroków od nich świeciły. Nie widząc zwierzęcia ale tylko jego oczy, nie wiedzieli jakiego mają przed sobą nieprzyjaciela; o ucieczce zaś i myśleć było nie można zważywszy tak bliską odległość, to też Boleś i Witold porwali za fuzje, ale Boleś uprzedził brata i wprzód nim ten zmierzył, wystrzelił, mierząc pomiędzy oczy zwierzęcia. To ostatnie zerwało się i uciekło ale goń psów wskazał im, że musiało być ranione, to też pobiegłszy w stronę zkąd szczekanie dochodziło przybyli jeszcze w porę, aby wyrwać je z zębów Kastora i Pollukxa.

Nie tylko Boleś ale i wszyscy byliśmy uszczęśliwieni z takiego obłowu, ile że smaczne mięso antylopy przynajmniej na trzy dni powinno nam było wystarczyć.

— Ale gdzie Paweł?—zapytała żona;—czy przynosi okrycia?

— Tak—odrzekłem uśmiechając się,—zaraz tu przyjdzie.

W tejże chwili usłyszeliśmy skrzypienie kół i ujrzeliśmy białe płótno swojej bryki, oświecone blaskiem ogniska. Witold podskoczył z radości, wołając głośno:

— Mamo, mamo, to nasz wóz!

I wszystkie dzieci otoczyły go do koła, przypatrując się z taką ciekawością, jakby poraz pierwszy ujrzały. Jestem pewny, że nigdy w życiu żadna zabawka takiej przyjemności im nie sprawiła, jak widok tego starego wozu. Aleśmy i my nie mniej byli z niego zadowoleni, bo nic tak nie jest drogiem dla człowieka, jak to co miał już utracić.

Urządziwszy jak można było najwygodniejsze w wozie posłanie, padliśmy na kolana i w gorącej modlitwie złożyliśmy Stwórcy dziękczynienie, że tak cudownie z tylu niebezpieczeństw nas ocalił.

Nazajutrz, gdyśmy weselsi i mocniejsi na duchu spożywali śniadanie, składające się z mięsa antylopy i kawy bez śmietanki i cukru, bo zapasy tego ostatniego już się wyczerpały, Paweł ujrzał nagle na jednym z odłamów skał kilka zwierząt podobnych do owiec, z których nie bez trudności udało się mi zabić jednę. Był to *argali* czyli baran dziki gór skalistych, którego myśliwi nazywają poprostu wielkorogiem; z kształtu wielce on podobny do wielkiego kozła lub raczej jelenia, a mięso jego bardzo smaczne.

Tym sposobem zapasy nasze tak się powiększyły, że na cały tydzień mieliśmy dostateczną ilość mięsa: ale czy i nadal tak będziemy szczęśliwymi? Zresztą, bądź co bądź należało myśleć jakim sposobem najłatwiej wydostać się z tej pustyni, w której przecie nie mogliśmy nazawsze zamieszkać zdala od cywilizowanego świata, od nawyknień, co się drugą naturą naszą stały.

Potrzeba się było przekonać, czy pustynia tak samo daleko się rozciąga ku południowi jak i ku północy; by się dowiedzieć o tem, postanowiłem obejść

do koła górę, pozostawiając w obozie Annę, dzieci i Pawła.

To też wziąwszy karabin i wsiadłszy na konia, który należycie juz wypoczął, puściłem się na zwiady. Pustynia ku południowi zdawała się jeszcze bardziej jałową i bezpłodną, ciągnęła się zaś tak daleko, jak tylko oko sięgnąć mogło; wschodnia tylko pochyłość góry zdawała się bujniejszą roślinnością okryta, a jadąc w tym kierunku odkryłem przypadkiem i całkiem niespodzianie dolinę, w której obecnie się znajdujemy. Nie zdołam opisać panom wrażenia, jakiego na jej widok doznałem; zdawała się mi ona snem uroczym, z którego obawiałem się przebudzić. Tajemne jakieś przeczucie spotęgowane pięknością widoku, ku niej mię pociągało; wszystko mi mówiło że tu znajdę szczęście, któregom napróżno w życiu szukał.

Zachodzące słońce przypomniało mi, że czas wrócić do obozu, gdzie i tak zapewnie niespokojni są o mnie. Wróciłem późno już w nocy, a gdym opowiedział żonie o swojem odkryciu, postanowiliśmy nazajutrz zwiedzić to czarowne ustronie.

Nazajutrz skoro świt, byliśmy już na nogach i spakowawszy na wóz wszystkie swoje manatki, puściliśmy się w drogę; wszakże dopiero ku wieczorowi przybyliśmy nad skraj doliny, gdzie też i noc tę spędziliśmy. Nazajutrz udałem się sam jeden szukając drogi, którąby się można było dostać w głąb doliny, ale uszedłem kilka wiorst wszędy li tylko strome ściany opoki spotykając. Już poczynałem przypuszczać, że czarodziejska ta dolina jest niedostępną zupełnie dla ludzi, gdy na przeciwnym prawie brzegu ujrzałem ścianę bardziej pochyłą, po której można było spuścić się do wnętrza doliny. Ponieważ było już późno gdym wrócił do obozowiska, więc i tę jeszcze noc musieliśmy w temże samem miejscu spędzić.

Nazajutrz, zachowując największe ostróżności, poczęliśmy się spuszczać w dolinę, która z każdym krokiem coraz nowe przed nami odkrywała skarby. Wszystko cośmy tu widzieli wyraźnie mówiło, że nie tylko zakątek ten nie jest zamieszkałym, lecz że nawet prawdopodobnie noga ludzka nigdy go nie tknęła. Jedyni mieszkańcy tej doliny zwierzęta i ptaki, z zadziwieniem na nas patrzyły najmniejszej nie okazując trwogi.

Przebywszy najtrudniejsze przechody, któreśmy spuszczając się z góry co krok spotykali, zatrzymaliśmy się wreszcie pośród czarownej łączki, która zdawała się raczej być sennem widzeniem aniżeli rzeczywistością. Na gałęziach nieznanych nam po większej części drzew i krzewów, siedziały strojne wszelkiemi barwami tęczy ptaki, w których nie wiedzieliśmy co bardziej podziwiać — czy wspaniałość upierzenia, czyli też melodyjność śpiewu. Równe im co do ubarwienia lecz niezrównane pod względem woni, rosły pod stopami naszemi kwiaty, wabiąc do swoich kielichów roje zalotnych motyli, które znowu przewyższały swemi kolorami wszystko, co najśmielsza imaginacja wymarzyćby zdołała.

W tem to zachwycającem miejscu postanowiliśmy tyle czasu przepędzić, ile będzie potrzeba do odkarmienia naszych zwierząt i uprowidowania się w dostateczną ilość zwierzyny, potrzebnej do przebycia tak olbrzymiej pustyni—ani przeczuwaliśmy wtenczas, że dziesięć lat w tem miejscu przepędziem! Ale słusznie mówi nasze przysłowie: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”.

Jakkolwiek dość jeszcze było wcześnie takieśmy byli zmęczeni, że tylko myśleliśmy o spoczynku. Paweł rozpalił ognisko, wbił po jego bokach dwa słupki, a u poprzecznicy u góry założonej zawiesił kociołki z wodą, która gdy się zagotowała, Anna przyrządziła kawę; na ogniu tymczasem piekła się ćwierć antylopy, a noże, widelce i inne stołowe porządki, wprzódy jeszcze Anna ustawiła na kufrze serwetą przykrytym. Już zabieraliśmy się z apetytem do jadła, gdy usłyszeliśmy jakiś szelest na skraju lasu, pochodzący jak się zdawało od stąpania licznego stada zwierząt. Zwróciliśmy się w tę stronę i po chwili wybiegły z gąszczy trzy wielkie zwierząta, ze składu podobne do jeleni ale większe daleko od nich, oraz opatrzone rozłożystemi rogami, które się o kilka stóp ponad głową piętrzyły;—były to wielkie łosie gór skalistych.

Wyszedłszy z lasu, szły jeden za drugim pełne zaufania w swą zręczność i siłę. Jakoż w samej rzeczy umieją one bronić się bardzo energicznie przeciw swoim nieprzyjaciołom, za pomocą ostrych i twardych rogów. Było w nich coś tak wspaniałego, żeśmy się w milczeniu przypatrywali w miarę gdy się ku nam zbliżały: szły bowiem prosto do naszego obozu. Gdy ujrzały nasz wóz i ognisko, wstrzymały się na chwilę i węsząc powietrze, przypatrywały się nam przez kilka chwil oczyma pełnemi zdziwienia.

— Uciekną—rzekłem po cichu—i niezawodnie nam się wymkną, bo karabin mój stąd nie dosięgnie.

—Co za szkoda—rzekł Paweł—a tak tłustych niezdarzyło mi się widzieć.

I gdy przemyślam czyby się nie udało popełznąć ku nim tak aby nie dostrzegły, widzę z największem zdziwieniem, że zwierzęta te zamiast uciekać zbliżyły się ku nam jeszcze o kilka kroków. Trzeba bowiem wiedzieć, że łoś o ile jest lękliwym o tyle ciekawym, tym razem ciekawość przezwyciężyła i jeszcze o kilka kroków się zbliżyły. Wreszcie sądząc że odległość jest dostateczną, strzeliłem ale wszystkie trzy łosie zwróciły się i uciekły pędem strzały. Psy, które dotąd przetrzymywał Paweł z głośnym szczekaniem puściły się za niemi i również znikły nam z oczów. Zrazu szczekały tak jak zwykle kiedy gonią za zwierzem, ale nagle usłyszałem jak mocno poczęły ujadać, widocznie otaczając rannego łosia. Zerwałem się tedy spiesznie i porwawszy fuzję Bolesława, popędziłem wraz z Pawłem w tę stronę. Zafarbowane krwią liście świadczyły, że przypuszczenia nasze płonnemi nie były; jakoż wyprzedziwszy Pawła, ujrzałem łosia broniącego się na kolanach przeciw jednemu psów, drugi leżał na ziemi i skomlał żałośnie. O[illegible]awiając się aby nie zabił naszego dzielnego psa, strzeliłem doń na prędce i poskoczyłem ku łosiowi chcąc go dobić kolbą. Uderzyłem tedy z całych sił w głowę, alem stracił równowagę i padłem jak raz pomiędzy nogi strasznego zwierzęcia. Upuściłem fuzję i uchwyciłem za jeden róg myśląc, że się tym sposobem oswobodzę, ale łoś zerwał się nagle na nogi i raptem podnosząc głowę podrzucił mię na kilka stóp w górę, spadłem na sploty ljanów, winorośli i gałęzi, których uchwyciłem się oburącz. Gdyby nie udało się się mi zatrzymać, źle byłoby ze mną, bo łoś nie wiedząc co się z jego przeciwnikiem stało, widocznie szukał mnie pod gałęziami.

W tem nadbiegł Paweł i przeląkł się niezmiernie widząc fuzję na ziemi, mnie zaś nie dostrzegając wcale. Właśnie miałem nań zawołać, gdy łoś zniżywszy głowę pędem strzały rzucił się na niego. Miałem go już za zgubionego. Całą jego bronią była indyjska pika, którą znalazł w obozie nieszczęśliwych naszych towarzyszy. Lecz zamiast się nią bronić trzymał niedbale zwieszoną, a łoś tymczasem biegł na niego. Nagle przypuściwszy go na kilka tylko kroków, poskoczył Paweł w bok i stanął za drzewem. Sądziłem, że już po nim. Ale jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał padające zwierzę piką Pawła przeszyte! Uderzył w chwili gdy łoś z całym impetem mimo przebiegał.

— Brawo Pawle!—zawołałem zeskakując na ziemię—tęgoś się popisał.

— Tak panie—odrzekł Paweł, z oznaką zadowolenia i pewnego rodzaju dumy,—człowiek czarny potrafił namacać piąte żebro tego ichmościa. Nie będzie już kaleczyć mojego biednego Kastora! — i zaczął pieścić psa.

Łoś był tak ogromny, że ważył przynajmniej tysiąc funtów. Mieliśmy tym sposobem mięsa na dość długi czas i przywiozłszy zabitego łosia pocięliśmy je w kawały, któreśmy tymczasem na gałęziach drzew powiesili.

Nazajutrz radziliśmy jakimby sposobem je zakonserwować co rzeczą nie nazbyt było łatwą, gdyż zapas soli zupełnie się nam wyczerpał. Na szczęście przypomniało mi się sposób używany przez strzelców gór skalistych i natychmiast wzięliśmy się do wykonania onegoż. Obrawszy stosowne miejsce, wbiliśmy do koła żerdzie, których wierzchołki połączyliśmy ljanami, a u spodu po środku rozłożyliśmy ogień, przykrywszy go zielonemi gałęziami, aby więcej się dymu wydobywało. Do ljan uwiązaliśmy zrazy mięsa długości niemal łokciowej, utrzymując ciągły ogień pod spodem oraz strzegąc od psów i dzikich zwierząt. (*d. c. n.*)

---

## NOWOŚCI LITERACKIE.

**Świat Roślinny.** *Dzieło poświęcone miłośnikom przyrody, przez Dr. Karola Müllera, spolszczył Hipolit Witowski. 2 tomy z mnóstwem drzeworytów. Kraków 1867 roku.*

Przyroda wszędzie i zawsze jest wielką i bogatą, ale nigdzie bodaj tak piękną jak w świecie roślinnym. Strach pomyśleć coby się stało z naszą ziemią, gdyby nagle roślin na niej zabrakło. Nie tylko, że świat stałby się dziką straszną pustynią podobną do olbrzymiego cmentarza, ale co większa, wszelkie życie stałoby się na nim niemożliwem. Bo zważmy tylko, że roślina w gospodarstwie przyrody stanowi pokarm większej części zwierząt, któreby naturalnie pozdychały i znikły z łona ziemi w braku tej karmy; za zwierzętami roślinożernemi zginąłby człowiek i inne zwierzęta, które bądź rośliną, bądź zwierzęcą żywią się karmą. Przyznawszy więc taką doniosłość światu roślinnemu i złożywszy zań dzięki Wszechmocnemu Stwórcy, z natury rzeczy idzie, że chcielibyśmy bliżej poznać te wdzięczne twory przyrody, które tak nieskończoną rozmaitość przedstawiają. Wielką pomocą dla tych coby chcieli zbadać bliżej świat roślinny, będzie dzieło na czele niniejszego sprawozdania wymienione. Moglibyśmy wprawdzie zarzucić temu dziełu manią tłómacza polszczenia wszystkich obcych wyrazów, co czyni czytanie uciążliwem, ale inne zalety stokrotnie te niedostatki wynagradzają. A za prawdę ciekawych tu rzeczy naczytać się można! Slyszeliściež naprzykład o Brazylijskiej roślinie *dusicielu* (Cipo matador), która objąwszy w swe uściski najpotężniejsze drzewa, otacza je swemi splotami, dusi, ściska, wstrzymuje krążenie soków żywotnych, wreszcie sprowadza śmierć przedwczesną? Albo co powiecie o innem drzewie (Phiropora Mangle), której owoce strąkowate półtrzecia stopy długie, zwisłe, dotykają się bagien, wypuszczają z siebie korzenie, tworząc tym sposobem gęsty las z jednego pnia powstały? A słyszeliściež o tem, żeby licha roślinka wskazywała człowiekowi gdzie się rudy kruszcowe ukrywają? Taką roślinką jest *Fijołek galmanowy*, dzięki któremu odkryto najbogatsze rudy cynkowe, bo kwiatek ten rośnie zwykle w okolicach w ten kruszec obfitujących. Książka ta zawiera wiele niemniej ciekawych rzeczy, a ozdobne drzeworyty wielce jej wartość podnoszą. Zalecamy ją naszym czytelnikom równie jak i pożyteczną publikacją pana Wiślickiego, Redaktora Przeglądu Tygodniowego, p. t. **Wiedza**, *zbiór popularnych odczytów z literatury i nauk, Warszawa 1868. Cena 2 ruble.* Wiedza wychodzi zeszytami, które po umiarkowanej cenie oddzielnie nabywane być mogą. Obecnie wyszły już trzy odczyty: 1) Obowiązki i prawa społeczne, 2) Znaczenie i postęp prawa narodów, 3) Cena pracy. Wszystko to jak widzicie rzeczy ciekawe i ważne i każdego człowieka obchodzące. To zaś co nastąpi będzie bodaj ciekawsze jeszcze. Znajdziecie tam naprzykład rzecz o mieszkaniach, o środkach utrzymania życia, o polepszeniu stanowiska kobiety w społeczeństwie, o stowarzyszeniach przemysłowych, o zabobonnych sposobach leczenia, o Pompei, i naostatek wykład teorji Darwina, o której wiele u nas mówią, choć mało kto ją pojmuje. Zresztą wydanie to zaleca druk dobry, papier piękny, tłómaczenie wierne i staranna korrekta.

---

## ROZMAITOŚCI.

— **Bal papierowy.** Papier coraz bardziej zaczyna wchodzić w użycie do zastąpienia wielu rzeczy, na które dotąd używano tkanin. Taniość materjału wynagradza tu jego nietrwałość, gdyż rzeczy papierowe choć daleko króciej trwać muszą, kosztują mniej jak pranie. Wszystkim już wiadomo o kołnierzykach i mankietach papierowych, a o firankach z papieru pisaliśmy niedawno. Nigdzie przedmioty papierowe tego rodzaju nie są tak upowszechnione jak w Ameryce, gdzie wszelka praktyczna nowość najprędzej się przyjmuje. W tym karnawale odbył się w Nowym-Yorku bal papierowy tak nazwany od tego, że toalety mężczyzn i kobiet były o ile to tylko podobna, sporządzone z papieru. Była to znakomita reklama fabrykanta papierowych ubiorów, któremu urządzeniem tej zabawy udało się dać ogromny rozgłos swojemu fabrykatowi.

— **Krzywoprzysięzca.** W Wrocławiu przed sześciu laty sąd przysięgłych skazał dwie osoby na 10 lat więzienia za rabunek. Jeden ze skazanych umarł w więzieniu, drugi przebył tam aż do Lutego r. b. Wyrok zapadł na zasadzie przysięgą popartego świadectwa pewnego człowieka, który miał być niby ofiarą popełnionego rabunku. Człowiek ten przez sześć lat zdołał się oprzeć wyrzutom sumienia, teraz dopiero ślepnąc i bliski śmierci, stanął dobrowolnie przed sądem, i przyjmując na siebie wszelką karę jaka go czekać mogła zeznał, że w sprawie owej złożył świadectwo fałszywe;—taką jest potęga tego wewnętrznego głosu, który nas gromi bezustanku za krzywdę ludziom zrobioną. Człowiek ten mógł być pewnym, że krzywoprzysięztwo jego pozostanie na zawsze tajemnicą, jeżeli sam tej tajemnicy nie odsłoni, wahał się i nie uczynił tego przez lat sześć, sześć lat ciągłej walki z samym sobą—walki, która najsroższą dla niego musiała być karą, aż wreszcie nie mogąc dłużej przenieść zgryzot i wewnętrznego niepokoju, sam się oskarżył i uznał winnym krzywdy niczem niepowetowanej

i nienagrodzonej. Pozostałego przy życiu więźnia wypuszczono natychmiast i oddano sprawę rabunku do powtórnego osądzenia, ażeby sąd mógł wyrzec uroczyście niewinność obu skazanych.

— **Książę de Luynes,** zmarły r. b. w Rzymie przekonał wszystkich nieprzyjaciół postępu, że i dziś jeszcze są ludzie gotowi poświęcić się dla dobra bliźniego. Zacny ten filantrop napotkał tej zimy (która jak wiadomo nawet i we Włoszech dotkliwie dała się uczuć) rannego żołnierza, pozbawionego cieplejszej odzieży i nie namyślając się długo, własnym go płaszczem przykrył. Poświęcenie to drogo przepłacił, bo się przeziębił i oddał Bogu zacną swą duszę. Cześć jego pamięci! Książę de Luynes był uczonym, zajmował się bowiem archeologją i numizmatyką—nowy dowód, że prawdziwa nauka bynajmniej nie przeszkadza pełnieniu uczynków miłosiernych, ani tembardziej nie wyziębia w sercu miłości ku bliźnim.



Nagle dostrzegli w ciemności parę błyszczących oczu (str. 117—szpal. 2).

## KORRESPONDENCJE

OD REDAKCJI

**Opiekuna Domowego.**

Zawiadamiamy niżej wyszczególnionych Szanownych prenumeratorów, iż w skutek ich żądań w ciągu ubiegłego kwartału I r. b. wysłaliśmy *powtórnie* brakujące Numera „Opiekuna domowego,“ a mianowicie:

**z r. 1867 i lat poprzednich.**

**Affanasowicz St.** — Petersburg Nr. 3. **Bielińska Marja**—Iszczołno Nr. 9, 12, 13, 25, 32, 42. **Brzeziński** — Mława Nr. 39, 40, 46. **Bochwic Paul** — Nieśwież Nr. 34, 35, 53. **Berduski** — Wieluń Nr. 53. **Chrzonszczewski Cez.**— Hajsyn r. 1866 Nr. 52, 53, z r. 1867 Nr. 20. **Dawgiałło** — Rzeżyca Nr. 40, 41. **Grąbezewski A.**— Raciąż Nr. 21, 51. **Hryniewicz** — Bausk Nr. 32. **Hertz J.** — Kalinówka Nr. 25. 53. **Jurewicz** — Lida Nr. 8, 19, 24, 40, 41, 42, 46. **Jakowicz Wikt.** — Wornie Nr. 46. **Janiszewski Mar.** — Brześć Litewski rok 1866 Nr. 13, z r. 1867 Nr. 40. **Kozłowski Alb.** — Krzeszów Nr. 32 dowłącznie 39. **Klimańska Zof.** — Nowoaleksandrowsk r. 1865 Nr. 26. **Kuncendorf Jan**—Nowogródek Nr. 52. **Kostkiewicz Jak.**—Kazimierz r. 1866 Nr. 31 dowłącznie 36, r. 1867 Nr. 29. **Michalski Józ.**—Połtawa r. 1866 Nr. 24, 26, 29. r. 1867 Nr. 41, 46. **Majewski Alf.** — Brześć Kujawski Nr. 52, **Morawski**—Warszawa Nr. 16, 17, 46. **Ostrowski Fran.** — Letyczew Nr. 21, 50. **Ramstejn Em.**—Olgopol Nr. 53. **Rokicka Teof.** —Winnica r. 1866 Nr. 10, r. 1867 Nr. 53. **Szczęsnowicz Wład.** —Władysławów Nr. 9, 33. **Szukiewicz**—Lida Nr. 20 24. **Stokowska Mar.**—Gozdków Nr. 47, 48, 53. **Ks. Sikorowski**—Częstochowa Nr. 52, 53. **Skarzyńska Z.** — Łuków Nr. 44, 46. **Ulatowski Wł.** — Witków Nr. 30, 31, 33, 40, 51. **Waxman Sew.**— Korostyszew Nr. 26. **Żebrowski W.**—Stoczek Nr. 16. **Żukowski Lud.**—Starokonstantynów Nr. 24.

**z roku 1868**

**Budohoski A.**—Ostrołęka Nr. 1, 2. **Brzeziński**—Mława Nr. 8. **Dziedzicowski**—Dąbrowa Nr. 2. **Ekspedytor poczty**—Łagów Nr. 1, 2. **Grodzki Aleks.**—Ostróg Nr. 1, 2. **Hryniewiecki**—Orzeł Nr. 3. **Kirkor A.**—Petersburg Nr. 9. **Liwski Jan**—Bar. Nr. 4. **Noakowski Wł.**—Nieszawa Nr. 2. **Orłowski Jan** — Łagów Nr. 1, 2, 6. **Strzyżowski Jul.**—Władysławów Nr. 3. **Wiszniewski Aug.** —Jampol Nr. 6. **Zagórowski J.**—Gończyce Nr. 4.

## Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*Na koncercie*).

PIERWSZY ZNAWCA. Jak myślisz, czy daleko ztąd do muzyki?...

DRUGI ZNAWCA. Będzie pewno czterdzieści kroków.

PIERWSZY ZNAWCA. O! nie... będzie sześćdziesiąt.

DRUGI ZNAWCA. A to dla czego?...

PIERWSZY ZNAWCA. Ja się widzisz na muzyce znam.... gdyby było sześćdziesiąt kroków dźwięk byłby inny.

DRUGI ZNAWCA. Właśnie, że i ja się znam... gdyby było czterdzieści, toby nas kotły i trąby bardziej głuszyły.

PIERWSZY ZNAWCA. A no, załóż się że sześćdziesiąt.

DRUGI ZNAWCA. Że czterdzieści.

PIERWSZY ZNAWCA. Poczekaj, przemierzymy kroki.

(*Po opróżnieniu sali, obaj znawcy mierzą odległość od swego miejsca do orkiestry.*)

PIERWSZY ZNAWCA. Wystaw sobie pięćdziesiąt?

DRUGI ZNAWCA. Pięćdziesięt wystaw sobie!...

PIERWSZY ZNAWCA. Któż z nas wygrywa?...

DRUGI ZNAWCA. Ja nie wiem. Napiszmy o tem do Kurjera, niech pomiędzy nami rozstrzygnie.

(*W czasie wizyty*).

PANI DOMU. — Więc pan mieszkasz teraz stale w Kaliszu?

GOŚĆ Z PROWINCJI. — Tak jest, pani.

PANI DOMU. — W takim razie znasz pan zapewne mojego brata, Sędziego Trybunału?

GOŚĆ Z PROWINCJI. — Rzeczywiście, mam zaszczyt być znajomym panu Sędziemu.

PANI DOMU. — I odwiedzasz go pan zapewne?

GOŚĆ Z PROWINCJI. — Bywam w jego domu, chociaż przyznać się muszę, że nadzwyczaj rzadko.

PANI DOMU. — Jestem przekonaną, że robisz mu pan przez to wielką przyjemność.....

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, ADAM MIECZYŃSKI.